



**HELENA
SEKUŁA**

**NASZYJNIK
Z HEBANU**



Helena Sekuła

NASZYJNIK Z HEBANU

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-36-4

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Spis rozdziałów

1. Primabalerina
2. Zemsta?...
3. Chiromantka
4. Corps de balet
5. Rozpacz
6. Wiosenna burza
7. Mężczyzna w zielonym lodenie
8. Brakujące ogniwo

1. Primabalerina

– Raz, dwa, trzy...

Na tę komendę wyciągają się dwie męskie dłonie uzbrojone w pistolety. Rozlega się suchy trzask iglic. Strzały nie padają.

– Raz, dwa, trzy... – liczy niski głos. W głębokim półmroku widoczna jest tylko sylwetka prowadzącego ćwiczenia. Mężczyzna stoi w najdalszym rogu niskiej piwnicy oświetlonej słabą żarówką.

– ...cztery, pięć, sześć... – mężczyzna liczy szybko, dobitnie.

Po każdej wymienionej przez niego cyfrze dwa prawie równoczesne odgłosy naciskanych spustów, dwie iglice opadają na nie istniejące naboje. Charakterystyczne trzaski rozlegają się nie wcześniej i nie później, lecz w ułamek sekundy po rozkazie wydanym przez niski, monotony głos.

– ...siedem...

Jednoczesny stuk iglic.

– Magazynek! – ostry akcent na ostatniej sylabie.

Dwie pary dłoni błyskawicznie wyciągają puste magazynki z pistoletów. Ruch rąk do kieszeni kurtek.

Jeden – średniego wzrostu, z szeroką, mocno sklepioną klatką piersiową, ubrany w kurtkę z brązowego ortalionu, gęsto pikowaną w „kołderkę” – prosto przecięte kieszenie. Drugi – wysoki, smukły, czarna kurtka z podniszczzonego zamszu – kieszenie umieszczone blisko zapięcia, cięte ukośnie.

Szybki, pewny ruch dłoni i z kieszeni czarnej kurtki ukazuje się następny, także pusty magazynek. Sprawny ruch nadgarstka lewej ręki. Odgłos wsuwania w rękojeść pistoletu nowego magazynka.

Mężczyzna prowadzący ćwiczenie zerka na zegarek. Fosforyzująca wskazówka stopera mknie po czarnej tarczy odmierzając ułamki sekundy.

Ten w brązowej kurtce równie zgrabnie wymienia magazynki, ruchy ma płynne, pewne, ale czynność ta trwa o kilka drgnień wskazówki dłużej.

Człowiek ze stoperem jest niezadowolony.

– Powtórzyć! – chwila przerwy. – Magazynek! – znów ostry, nagły akcent wgniata ostatnią sylabę w ciszę piwnicy.

Precyzyjne ruchy dłoni obu ćwiczących. Mknąca wskazówka stopera, szcęk wymienianych magazynków.

– Raz, dwa, trzy...

Obaj mężczyźni posłusznie, karnie, wielokrotnie powtarzają te same czynności.

– Przerwa na papierosa – oznajmia ten ze stoperem.

Czarna i brązowa kurtka odkładają pistolety, zapasowe magazynki. Wyjmują papierosy, szukają zapalek – nikt nie przerywa milczenia.

– Czarny, daj tarczę – rozkazuje mężczyzna ze stoperem i wydmuchuje kłęb dymu, który niebieską chmurą leniwie rozpełza się pod stropem piwnicy.

Mężczyzna w czarnej kurtce zawiesza tarczę na ścianie. Drugi, w brązowym ortalionie, bierze przygotowane inne pistolety, otwiera blaszane pudełko.

– Szef, jaki kolor? – zwraca się do mężczyzny, który prowadził ćwiczenia.

– Jak zwykle, Jakub, żółte – odpowiada Szef.

Jakub podaje mu blaszany straszak i otwarte pudełko ze stalowymi loftkami, zakończonymi puszystymi, żółtymi kitkami.

– Czerwone – ten drugi wyciąga loftki z pudełka i nabija pistolet, z którego chłopcy strzelają na strzelnicach, próbując sprawności oka i dłoni wśród huśtawek, karuzeli i diabelskich młynów.

Jakub przysuwa do siebie pudełko pełne szafirowych loftek.

Teraz wszyscy trzech stają na zakreślonej przez Szefa kredą linii pod przeciwległą ścianą i już bez komendy strzelają loftkami. Słyszą tylko nierównomierne trzaski spustów straszaków, świst wystrzelonych loftek i pac! pac!... kolorowe kitki nieruchomieją na dysku tarczy.

Niebawem środek tarczy pokrywa trójkolorowa mozaika abstrakcyjnej kompozycji.

Przerywają strzelanie, idą do tarczy, wyciągają loftki:

– Szafirowa – mówi z leciutką naganą Szef i wyciąga szafirowy pędzelek z linii oznaczonej numerem dziewięć.

– Bez przesady – wzrusza ramionami Jakub. – A w ogóle mógłbyś dać silniejszą żarówkę. Przecież tu zupełnie ciemno.

– Tam – Szef mocno akcentuje to słowo – nie będzie jaśniej.

– Osobiście nie życzyłbym sobie – wtrąca Czarny.

Wracają na miejsca zakreślone kredową linią. Znowu słyszą tylko świst loftek i ich pacnięcia o tarczę. Teraz mężczyźni przybierają najróżniejsze pozycje. Strzelają stojąc na jednej nodze, w bardzo szerokim rozkroku, z dłonią pod barkiem drugiej ręki, z półobrotu, przerzucają pistolety do lewej ręki, gwałtownie przykucają lub nienaturalnie skręcają tułowiem.

– Dość – Szef przerywa strzelanie. Dokładnie bada rozmieszczenie wstrzelonych w tarczę loftek. Tym razem nie tylko szafirowe siedzą poza dziesiątką, ale żaden z kolorowych pędzelków nie przekroczył linii dziewięć.

– Nieźle – stwierdza Szef.

– To jednak teoria – wzdycha Jakub. – Dziecinna zabawa.

– Nie taka znowu dziecinna – oponuje Szef. – Przypomnij sobie, jak trafiałeś loftkami pół roku temu.

– To było dawno... – mówi niechętnie Jakub. – Trzeba by jednak pomyśleć o ostrym strzelaniu. Już nie pamiętam, kiedy to robiłem...

– To dobrze, że nie pamiętasz – ucina Szef.

– On ma rację – wtrąca Czarny. – Wyjechać gdzieś? Bo ja wiem... może do Białowieży albo w inną głąsę?

– Nie zgadzam się. Zbyt wielkie ryzyko.

– A tłumiki? – zastanawia się Jakub. – Można to urządzić tutaj. Tłumiki i worki z trocinami albo piaskiem? Jak myślisz?

– To już prędzej – odpowiada Szef. – Ale... dajmy spokój. Tłumiki też mi się nie podobają. Wystarczy... strzelacie jak snajperzy – uśmiecha się lekko i spogląda na pokłuty loftkami środek tarczy.

– Tetenka odbija – zauważa Jakub.

– Wiesz o tym świetnie i wiesz, na ile odbija – Szef jest zniecierpliwiony. – Myślałby kto, że masz strzelać do rzutków.

Jakub i Czarny milkną.

– Gruntowna znajomość terenu – zmienia temat Szef – zwyczajów przeciwnika, zaskoczenie i szybkość – to nasze atuty. Niezawodne atuty – podkreśla. – Podaj plan – zwraca się do Czarnego. Sam włącza stojącą biurową lampę z metalowym abażurem.

Wszyscy trzech pochylają się nad rozpostartą mapą. Światło koncentruje się na obwiedzionym czerwoną linią wieloboku ulic.

– Radiowóz milicji objeżdża ten rejon w taki sposób – Szef kreśli przerywaną linią trasę samochodu patrolowego. – Jeżeli po drodze nie ma interwencji, pojawia się w punkcie A co dziesięć, do piętnastu minut.

– To pewne? – raczej z przyzwyczajenia pyta Czarny.

– Wielomiesięczne obserwacje. Stuprocentowej pewności nikt ci nie da, takiej pewności nie ma i nie będzie – wyjaśnia Szef. – Ale tylko wyjątkowo niekorzystny zbieg okoliczności może zmienić tę konfigurację...

– Wystarczy, żeby dostać w czapę – prychna Czarny.

– Z takim rozumowaniem – wzrusza ramionami Szef – należy uprawiać warzywa, a nie...

– Nie zgrywaj się, Czarny, twoje głędzenie rozprasza – krzywi się Jakub.

– Niech głędzi – macha ręką Szef. – Przy najlepiej opracowanym planie nie można wykluczyć ryzyka, oczywiście staram się to ryzyko zredukować do minimum. Ale trzeba pamiętać, zawsze pamiętać – podkreśla – że mogą się zdarzyć rzeczy nie przewidziane w żadnym planie.

– Na taką okoliczność masz spluwę i szybkie nogi – kończy Jakub spoglądając na Czarnego.

– Dwa patrole milicji, każdy po dwóch ludzi – dłoń Szefa kropkuje, zielonym długopisem drogi patrolujących milicjantów – nie zawsze mają podobne trasy. Można przyjąć, że jest pięć wariantów obchodu rejonu – zielone, gęste kropki długopisu układają się w splątane arabeski. – Wariant pierwszy: w punkcie A są na początku obchodu, następne warianty są bezkolizyjne dla nas. Pozostaje wariant piąty. Otóż patrol ten jest w punkcie A w ósmej minucie nieobecności w punkcie A radiowozu.

– Trzeba przyjąć wariant piąty – mówi Czarny.

– Jestem tego samego zdania – zgadza się Szef.

– Osiem minut na całą operację – stwierdza Jakub. – Kupa czasu – dodaje z przekonaniem.

– To wcale nie jest osiem minut – prostuje Szef. – Jest jeszcze dzielnicowy. Jego wędrówki mogą ujać tylko w jakiś ogólny, cholernie nieprecyzyjny schemat. Na tego faceta trzeba odliczyć trzy minuty.

– Pozostaje pięć minut – oblicza Czarny.

– Dwie minuty trzeba odrzucić na nieprzewidziane wypadki. Jakiś lotny patrol, uzbrojony mundurowy, niekoniecznie milicjant... – ciągnie Szef.

– Może być uzbrojony i niekoniecznie w mundurze – zauważa Jakub.

– Tego nie da się przewidzieć. Koszty zawodu – strzepuje palcami Szef.

– Na całą operację, licząc od początku akcji aż do znalezienia się poza terenem działania, pozostają trzy minuty – stwierdza Czarny.

– Tak, trzy minuty – powtarza Szef.

– Ważne, gdzie ustawisz samochód – Czarny znów pochyla się nad planem. – Jeżeli tutaj... – ołówkiem lekko nakreśla na planie krzyżyk.

– Dobre miejsce – zgadza się Jakub. – Odległość nie większa niż sto metrów. Otwarta przestrzeń, tylko że tu jest zakaz postoju...

– Właśnie – mówi Szef. – W naszej sytuacji muszę być lojalistą, cholernym lojalistą. Nie mogę ryzykować nieprzepisowego parkowania nawet na jedną minutę.

– Przecież przez całe trzy minuty teren wydaje się czysty od hintów – przypomina Czarny.

– A społeczni kontrolerzy, a ORMO, a... czort wie, jaka jeszcze społeczna organizacja? – wybrzydza się Szef.

– Cholernie uspołeczniony naród – wzdycha Czarny. – Rzeczywiście, macie rację. To miejsce nie wchodzi w rachubę. Tutaj – ołówek biegnie do następnego punktu – też nie byłoby źle... Jak tam wygląda oznakowanie?

Gasną światła. Trzykrotnie brzmi gong. Nad salą potężnieją dźwięki intermezzo. Muzyka fascynuje zgromadzonych. Wypełniona po brzegi sala nieruchomieje. Premierową

publicznością, trudną, wymagającą, zblazowaną i kapryśną włada teraz bez reszty zespół utalentowanych ludzi, widoczny jedynie dla pierwszych rzędów słuchaczy.

– To nie zwykły balet, to wydarzenie teatralne – powiedział w *foyer* podczas antraktu przed trzecim aktem znany krytyk. Krytyk? Wyrocznia krytyki. Właściwie instytucja. Znana ze swego dobrego smaku, wysokich wymagań artystycznych, znajomości przedmiotu i piekielnie ciętego pióra.

– Godna oprawa dla po trzykroć wspaniałej Róży Larst – wtrącił z namaszczeniem przeciętny krytyk, który również miał wyrobiony smak, ale wyrażał się koturnowo, a pisał zawile i nudnie.

Róża Larst – to nazwisko było od kilku dni na ustach wszystkich ludzi, którzy mieli coś wspólnego z baletem. Mówili o niej zarówno choreografowie, krytycy, muzycy, kompozytorzy, jak i soliści baletowi – ci ostatni z podziwem i zazdrością.

Róża Larst była sławną tancerką. Róża Larst była tak sławną tancerką, że miała już nawet swoją legendę.

Ludzie „dobrze poinformowani” opowiadali, że olśniewająca kariera Róży Larst wynikała z przypadku. Tym przypadkiem miał być fakt, że przed kilkunastu laty młoda, nikomu wówczas nie znana, ale bardzo piękna i świetnie zapowiadająca się tancerka pokłóciła się z choreografem opery, w której występowała. Podobno choreograf – stary i bardzo brzydki, słowem dość obleśny staruszek, czynił dziewczynie jednoznaczne propozycje, których ona nie chciała zrozumieć.

Podobno pod wpływem intryg tego pana usunięto Różę z zespołu opery – po czym on ponawiał swe brzydkie propozycje. Dziewczyna nie dała się złamać i poczyniła starania, aby zaangażowano ją do którejś z innych oper w kraju. Ale stary, zły satyr miał wpływy we wszystkich operach i z maniakalną mściwością uniemożliwiał jej pracę w większości zespołów baletowych. Tak, że za sprawą tego pana Róża znalazła się bez możliwości pracy w swoim zawodzie.

A potem Róża wyjechała do Paryża. Kto jej w tym pomógł? – historia milczy. Podobno doskonaliła swój kunszt u samego Lifara i zainteresowała swymi nieprzeciętnymi zdolnościami legendarną Pawłową. Jedno jest pewne, że Róża Larst zabłysła jako wybitna solistka w paryskiej..., później były – *tournées* po całej Europie i obu Amerykach, wreszcie engagement na pierwszą solistkę londyńskiej...

Teraz Róża Larst była jedną z najwybitniejszych tancerek świata.

Do kraju przyjeżdżała tylko na urlopy. Wyszła tu zresztą za mąż za lekarza – neurochirurga, ale słynna diwa nigdy dotychczas podczas pobytów w ojczyźnie nie występowała na scenie. „Dobrze poinformowani” twierdzili, że Róża Larst ma żal za utrudnianie jej kariery w czasach młodości.

I oto od kilku tygodni Róża Larst była w Warszawie i po raz pierwszy występowała na scenie Teatru Opery i Baletu w podwójnej roli Odetty, zakłętej w białego łabędzia, i Odylii – córki czarnoksiężnika.

Kurtyna unosi się w górę. Na scenie pyszna sala w zamku księżnej. Schodzą się zaproszeni goście. Grzmi fortissimo orkiestra. Dźwięki fanfar, a później solo skrzypcowe zapowiada przybycie nowych gości.

To Rudowłósy, zły czarnoksiężnik, który na ten wieczór przemienił się w rycerza, wprowadza do książęcej komnaty swoją córkę – Odylię.

Róża Larst, w czarnych trykotach opinających wysmukłe ciało, wpływa na scenę...

Antrakt: szemrzą rozmowy, tłum wylewa się do *foyer*, wypełnia palarnię, bufet.

Satelici plasują się wokół znanego krytyka i chciwie łowią jego uwagi, celne sformułowania, aby jutro albo jeszcze dzisiaj, po premierze, podać je swoim satelitom jako własne.

Róża Larst stoi bez ruchu w rogu pustoszącej sceny. Do twarzy ma przyklejony uśmiech. Na tle sztucznego przepychu dekoracji książęcego zamku ten uśmiech wygląda wyjątkowo fałszywie. Pod grubą warstwą charakterystyki jest blada – kropelki potu zawisły u nasady włosów.

Róża jest rozpaczliwie, śmiertelnie przerażona.

Tancerka zna to uczucie i całą siłą woli stara się je opanować, obronić się przed nim, nie dopuścić, żeby ją ogarnęło – a nigdy nie potrafi tego dokonać.

Zna stany, które je poprzedzają, i wtedy już wie, że nieuchronnie przyjdzie to najgorsze: obrzydliwy, lepki lęk... lęk, który trwa godzinami, by ustąpić miejsca skrajnej apatii.

Teraz, przed czwartym aktem, u szczytu sukcesu, sławna tancerka modli się prawie, aby lęk, skoro już przyszedł w takiej chwili, nie minął przed końcem spektaklu. Bo jeżeli minie, ogarnie ją stan wyczerpania, którego boi się jeszcze bardziej. Wie, że jeżeli zagarnie ją apatia, to... biały łabędź nie będzie umierał w czwartym akcie – Róża Larst nie dokończy przedstawienia.

Stara się myśleć o brawach, kwiatach, o nieklamanych zachwytach, o napięciu, z jakim czeka na jej solowe partie wypełniona widownia.

Trzy czwarte snobów – przemyka zdradliwa myśl. – Papugi! Obecne moje sukcesy to renoma i blask zagranicznej sławy..., to reklama dobrego impresario.

Co oni wiedzą – myśli prawie z nienawiścią o bezimiennej widowni. – Nie, inaczej: czego oni jeszcze nie wiedzą, ale mogą się dowiedzieć w każdej chwili.

„Róża Larst się starzeje, Róża Larst się kończy” – wydaje jej się, że słyszy takie właśnie szept. A później: „To była wielka tancerka”.

Nie! – jeszcze nie teraz, jeszcze nie...

To nieprawda, to serce i nerwy – taką diagnozę postawił Jerzy. Przypomina sobie męża. Przepisał jej tę obrzydliwą miksturę. Trzeba połknąć to świństwo i przebrać się do ostatniego aktu – przytomnieje nieco.

Idzie w stronę garderoby. Idzie lekkim, sprężystym krokiem, ale wydaje jej się, że wszyscy widzą obolałe ścięgna, zwiotczałe mięśnie i to, że idzie na zmęczonych, kalekich, starych nogach. Nie idzie – wlecze się – stara kobieta – była primabalerina.

Ogarnięta nowym nawrotem nieludzkiego przerażenia odruchowo opiera się o coś i... przytomnieje, zaciskając kurczowo dłoń na ramieniu jakiejś dziewczyny z *corps de ballet*.

Biały trykot, tiulowa króciutka spódniczka. Przybranie z piórek na gęstych, czarnych włosach. Piękna i bardzo młoda twarz. Wyraz zdziwienia w ogromnych oczach.

Róża zwalnia kurczowy ucisk ręki na ramieniu tamtej.

Ach! To ta mała z *Pas de Quatre* z drugiego aktu – przypomina sobie. – Utalentowana – przemyka jej przez myśl. – Jeszcze nie doszlifowana technika, ale niewiele trzeba, aby mi dorównała, a może i przerosła mnie.

W tej chwili śmiertelnie nienawidzi tamtej.

– Jesteś gotowa do czwartego aktu? – słyszy swój własny, ciepły, życzliwy głos.

– Tak, proszę pani – odpowiada tamta tonem grzecznej dziewczynki, ale wyraz zdziwienia i zachłannej ciekawości nie znika z jej szeroko rozwartych oczu.

– Jak ci na imię?

– Joanna.

– Chodź do mojej garderoby, Joanno, ja też muszę się przebrać – lekko popycha ją przed sobą. – Porozmawiamy.

Powinna się czuć zaszczycona – myśli Róża. – Nie domyśla się chyba właściwych powodów tego zaproszenia. A ze mną jest już zupełnie źle, jeżeli nie zdaję sobie sprawy, o co opieram ręce.

W garderobie Róża szybko zdziera z siebie czarny trykot. Wspaniale naga staje pod prysznicem. Joanna spod przymkniętych powiek obserwuje ją w lustrze. Róża czuje na sobie

ten wzrok. Drażni ją ta kontrola – zamyka śpiesznie prysznic i spowita w kąpielowe prześcieradło rzuca się na fotel naprzeciw dziewczyny. Szuka zapalek, długo przypala papierosa; teraz zachłannie ciekawy wzrok dziewczyny czuje na swoich dłoniach. To ją męczy i denerwuje.

– Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Zakłopotane milczenie tamtej.

Wyrazista twarz – myśli Róża – Nie potrafi ukryć nastroju. Poczekaj – mówi w duchu do Joanny z gorzką satysfakcją – gdy będziesz miała tyle lat co ja, potrafisz ukryć każde wzruszenie, wszystkie uczucia.

– Pierwszy raz w życiu siedzę tak blisko jednej z największych artystek – zacinając się odpowiada wreszcie Joanna i ciemny rumieniec ogarnia jej twarz, czoło, odkryte ramiona.

Pierwszy raz widzę cię tak blisko, Różo Larst – myśli Joanna i jest bliska płaczu. – Pierwszy raz widzę swoją klęskę. Jaka byłam głupia. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka naprawdę jesteś. Wiedziałam, że jesteś bardzo utalentowana i bardzo sławna. Latami wbijały mi to w świadomość film, telewizja, recenzje i zdjęcia w magazynach... Tak, wiedziałam, że jesteś jedną z największych tancerek wszystkich czasów, ale nie wiedziałam, że jesteś taka piękna i taka kobieca.

Róża uśmiecha się do dziewczyny. Pochlebia jej zachwyt tej małej tancereczki, może właśnie dlatego, że wyrażony jest kanciasto, chropowato. Nie, ta dziewczyna nie ma wprawy w mówieniu pochlebstw – ona mówi prawdę i ta prawda ją żenuje.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia – mówi Joanna.

Co z tego, że mam dwadzieścia lat? – myśli. – Przy wielkiej pracy może ci kiedyś dorównam jako tancerka. Ale przecież nie o scenę mi chodzi, nie zazdroszczę ci sławy, tylko... i tak przegram z tobą w tamtej walce.

Joanna w tej chwili serdecznie nienawidzi Róży. Różo Larst – kobiety.

– Gdzie skończyłaś szkołę? – pyta Róża.

– W Dziekance.

– Dawno?

– Dwa lata temu.

– Już dwa lata tańczysz w tym zespole?

– Rok.

– A co robiłaś poprzednio?

– Miałam rok praktyki w Moskwie.

– To świetna szkoła, doskonali, utalentowani wykładowcy.

– Tak, świetna – powtarza Joanna z niezrozumiałym dla Róży smutkiem.

– Kto teraz prowadzi w operze ćwiczenia z corps de balet?

– Wujek.

– Kto? Jaki wujek? – nie rozumie Róża.

– Przepraszam, profesor Paweł Olech – poprawia się Joanna. – Ale nie tylko on...

– Ach, to twój wujek? – dowiadyuje się Róża.

– Niezupełnie – wyjaśnia Joanna. – Przyjaciół ojca, mówię o nim wujek, jest o tyle starszy ode mnie... – płacze się speszona.

Nierozgarnięta, niemrawa dziewczyna – stwierdza Róża. – Nie, przy takiej inteligencji nie zostaje się łatwo primabaleriną, nawet jeżeli w operze ma się wujka.

– Czy masz w repertuarze opracowaną jakąś partię solową? – pyta bez zainteresowania Róża i wstaje. Swobodnie odrzuca miękką tkaninę i zaczyna się ubierać. Ta dziewczyna po prostu jest okropnie nieciekawa, ograniczona i nudna.

– Mam – ożywia się Joanna. Ton jej głosu powoduje, że Róża z zainteresowaniem odwraca głowę i patrzy przez moment na dziewczynę.

– Co masz opracowane najlepiej?

– Copelię i rolę... Odetty i Odylii – mówi nieśmiało. – Inne też... – dodaje skubiąc tiul spódniczki.

– Ambitny repertuar... Masz talent, ale trzeba dużo pracować – rzuca lekko Róża i widać, że jest to już tylko zdawkowa uprzejmość.

– Przepraszam – w uchylonych drzwiach staje stary inspicjent. Skłania z szacunkiem głowę przed wielką tancerką.

– Pani Różo, proszę na scenę.

Spostrzega niezdecydowanie stojącą Joannę – marszczy białe, krzaczaste brwi:

– Ty jeszcze tutaj? A kysz! Dziewczęta już dawno wyszły.

Gdy Róża Larst umiera na scenie jako biały łabędź-Odetta, zachwycona publiczność nie ma pojęcia, ile w tym umieraniu jest prawdy, osobistego dramatu primabaleriny.

W tej scenie Róża Larst przeszła samą siebie. „Na takie szczyty kunsztu nie wzniosła się nigdy dotąd” – napisze jutro prasa w kraju i za granicą.

Wyczerpana Róża gestem odprawia garderobianą.

– Nie przyjmuję nikogo – rozdrażnionym głosem akcentuje „nikogo”.

– Dobrze, proszę pani – garderobiana wychodzi, ale za drzwiami nie może powstrzymać się od wzruszenia ramionami.

Fochy, miny, toniki... Nieźle zmanierowana powodzeniem po tych zagranicach.

– Nikogo – przedrzeźnia Różę. – A już wszyscy do ciebie lecą, uważaj tylko, jak wielbiciele w garderobie się nie pomieszczą. W którym wieku ty żyjesz? Przedstawienie skończone, brawa były, kwiaty dostałaś. Starczy. Komu przyjdzie do głowy pętać się po garderobach i po co?

Ale jednak „przylecieli”, „pętali się”.

– Nie przyjmuje – informowała garderobiana. – Bardzo zmęczona. Takie napięcie wyczerpuje – usprawiedliwiała jednak Różę, odprawiając kolejną osobę z kwitkiem.

Róża pali papierosa i bezmyślnie przygląda się swemu odbiciu w lustrze. No, mógłby już ten Jerzy przyjechać po nią.

Pukanie i, nie czekając na zaproszenie, wślizguje się garderobiana.

– Szofer czeka na panią – zawiadamia.

– To mój mąż.

– Kiedy nie mąż, tylko szofer – wyjaśnia garderobiana.

– Nie znasz mego męża – wzrusza ramionami Róża.

– Znam – mówi kobieta i nagle urywa.

– Skąd? – dziwi się Róża.

Garderobiana jest wyraźnie speszona. Gdyby Róża zwróciła na nią uwagę, niewątpliwie zastanowiłby ją ton i wyraz twarzy tamtej.

– To dobry doktor, wyleczył moją kuzynkę, a już była beznadziejna... – opanowuje się garderobiana i coś tam mówi jeszcze o płacie mózgu, który dobry doktor usunął tej kuzynce.

Ale Róża już jej nie słucha.

– Podaj mi płaszcz – żąda.

– Pani się nie przebierze? – gorszy się garderobiana.

Róża ma jeszcze na sobie biały trykot z czwartego aktu.

– Nie chce mi się – mówi Róża. I już niecierpliwie: – Podaj mi płaszcz!

– Przynajmniej baletki trzeba zdjąć – perswaduje garderobiana jak kapryśnemu dziecku i przyklęka u stóp Róży. Narzuca jej na ramiona puszyste futro z szarych nurków.

– Pan profesor przepraszam, pan profesor ma operację – informuje kierowca.

– Przecież dzisiaj miałam premierę – mówi z głuchą pretensją Róża i reflektuje się. Co winien szofer, że Jerzy nie uważał za stosowne odłożyć swoich spraw.

– Chory człowiek nie może czekać – mówi z oburzeniem szofer i zerka w lusterko na nie znaną żonę profesora Larsta – baletnicę.

Nie przyszedł na premierę – rozmyśla Róża. – Na moją pierwszą premierę w Warszawie. Tyle go i obchodzi moja sztuka.

W swoim egocentryzmie, wyczerpana nerwowo po spektaklu, nie jest w stanie pomyśleć, że nigdy przez piętnaście lat małżeństwa nie przyszło jej do głowy zainteresować się ważnością jego pracy, że na dobrą sprawę byłaby w kłopotcie, gdyby musiała wyjaśnić określenie: neurochirurg. Jerzy to lekarz, no, doktor medycyny – i to bez mała wszystko, co wie o jego zawodzie.

– Dokąd jedziemy?

– Do kliniki – Róża sama nie rozumie, dlaczego nagle chce jechać do kliniki. Nawet nie bardzo wie, gdzie to jest. No nic, szofer wie.

Po co ja tam jadę? – dziwi się sobie. – Przecież wcale mi nie zależy na natychmiastowym widzeniu Jerzego. Jeszcze szpital? Brr – Róża organicznie nie znosi wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z chorobą.

– Jesteśmy – kierowca zatrzymuje wóz.

– Gdzie jesteśmy?

– Klinika.

– Ja wcale nie chcę tutaj. Proszę mnie zawieźć do domu.

– Chciała pani do profesora – szofer jest obrażony.

– Ale już nie chcę – Róża mówi szorstko, wyniośle.

Kierowca tylko przez szacunek dla profesora nie mówi Róży, co o niej myśli.

Ale ma babę – współczuje Larstowi. – To po tych zagranicach tak jej się w głowie przewróciło. Ważna! – od machania nogami na scenie.

Wóz zatrzymuje się. Kierowca niechętnie otwiera przed Różą drzwiczki. Robi to w taki sposób, aby ona nie myślała, że otwieranie drzwiczek wozu przed pasażerami należy do jego obowiązków. Róża nie zwraca uwagi na szofera. Tak dokładnie zajęta jest sobą, że prawie niczego nie widzi. Rozdrażnienie narasta w niej do granic hysterii.

Między krawężnikiem a wozem jest przestrzeń pokryta brudnym, topiącym się śniegiem.

– Nie jestem bocianem – mówi wysokim, nieswoim głosem Róża – abym brodziła.

Kierowca połyka przekleństwo. Trzaska drzwiczkami i z furią hamuje bliżej krawężnika, aż opony ocierają się o chodnik.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI